

Dr. I. Gluziński

# Pędziszem na południe

XII

Zaczyna się powrót. Udało mi się w końcu tempo; zaproponowałem zwiedzenie San Marino.

Parę kilometrów w stronę Rimini i zjeżdżamy na boczną drogę. Kręta i wąska, przypomina nasze trzeciorzędne szosy. Stopniowo oddala się od morza i ciągnie nas w górę.

Okolice coraz bardziej górzyste i coraz bardziej pusta. Poza nami rozległy widok ku morzu. Wymijamy furi chłopskie, zaprzężone w muły, zwożące siano. Roślinność coraz rzadsza. Coraz straszniej jeździemy w górę i przed nami rozciągają się długie grzbiety Apeninów, pokryte conajwyżej trawą. Zauważamy charakterystyczny szczegół: oto południowe zbocza są nagie i pustynne i trawa nawet na nich nie rośnie, bo wypaliło je słońce.

Jesteśmy już wysoko, kilkaset metrów nad poziomem Adriatyku. Ciężko pracujący motor przeciąga nas przez przełęcz i raz po raz otwiera się przed nami widok rozległy na ocean fal, skamieniały w jakimś kataklizmie. Coraz głębiej wzrok wdziera się w głąb Apeninów i wszędzie dostrzega to samo. Pustynny krajobraz, przypominający zdjęcia fotograficzne z gór Abisynii. Tutaj można zrozumieć, że właśnie Włosi w tym niegościnnym kraju nie musieli się czuć tak obco, jak czuliśmy się my.

Stare zamczyska, pobudowane na skałach, urozmaicają pustkowie. Czasem jakaś wioska, z kilku domków murowanych złożona, pouczy cudzoziemca, że i tutaj tętni życie, a ludzie — jak wszędzie — pracują, przeżywają radości i smutki.

Od morza wieje chłodny wiatr i łagodzi nieznosny upał. I nagle na zakręcie zwracają naszą uwagę dwie kamienne tablice. Napisy na nich brzmią zagadkowo: na pierwszej czytamy „Reame d'Italia“, a na drugiej „Repubblica di San Marino“. Komory granicznej nie widać nigdzie. Zaden głos strażnika nie zakłóca pustki.

Oto granica, gdzie po bratersku pozdrawiają się napisami dwa europejskie państwa: królestwo włoskie i Rzeczpospolita San Marino, jakby dwie równorzędne potęgi, szanujące się nawzajem.

Wjeżdżamy w nieznany kraj bez jakichkolwiek formalności granicznych. W dali na prostopadłej skali majaczy olbrzymi zamek; u stóp jego leży stolica republiki, miasteczko San Marino.

Na pierwszy rzut oka wydaje się niepodobieństwem, by samochodem można tam się dostać. A jednak droga, ogrodzona kamiennymi barierami, wiedzie nad prze-

paścią i wijąc się tajemniczo wywodzi wreszcie w pierwszą uliczkę miasteczka. Dalej trzeba iść pieszo.

Pozostawiamy wóz i drzemy się w górę po spadzistych uliczkach i kamiennych schodkach. Co chwila wydaje się, że przejście się kończy. Ale uliczka zakręca pod kątem ostrym, kilkanaście schodków i znowu domki.

Rzadki urok ma takie miasteczko, zbudowane wśród skał. Tarasy i tarasiki wychodzą na spadziste zbocza, a nierzadko prostopadła skała przylega wprost do domu. Aż wreszcie zabudowania ustają i stromo pod górę wśród starych murów wydostajemy się na grań, na której króluje zamczysko.

Z ruin pozostały trzy olbrzymie baszty, odległe od siebie o kilkaset metrów. Idziemy po krawędzi murów i docieramy do baszty najwyższej. Tam strażnik otwiera nam potężnym, zgrzytliwym kluczem przejście na szczyt wieży.

Niesłychany widok na morze Apeninów, na pustkę tak niegościnną, jakby to nie było w przedludnionej Europie. Ku wschodowi wzrok zapuszcza się daleko na wody Adriatyku i — jak powiadają — w dzień szczególnie pogodny sięga aż do wybrzeży Dalmacji. Aneroid mój wskazał ponad 700 metrów nad poziom morza.

W ocalałym od zniszczenia niszczymy zamkowe popijamy lemoniadę San Pellegrino, którą handluje nasz strażnik. Nie spotkaliśmy przez cały czas w zwaliskach ani jednego turysty i nikt nie zakłóca nam ciszy. Strażnik nawet przepada za załomem murów.

Wracamy znowu wśród ruin. W miasteczku upatrzyliśmy sobie na lunch restaurację z przepięknym tarasem nad przepaścią. Ale tutaj ciszę zakłóciła nam wycieczka Niemców szwajcarskich, złożona z kilkudziesięciu osób. Wszędzie tutaj się włoścą i potrzęsają banknotami o wysokim kursie. Hałasują, piszą kartki, zdejmują marynarki i kołnierze, a damy rozpuszczają spódnice.

Polecam abstynentom znakomitą, miejscową wino muskatelowe, a właściwie sok z winogron, ożywczy i słodki, ale chyba pozbawiony alkoholu. Muscatto di San Marino na tarasie odchodzi w wielkich karafkach, choć wybredny gust mężczyźni szwajcarskich demonstracyjnie opowiada się za piwem.

Już zjeżdżamy w dół w kierunku Rimini. Obok nas ciągnie się tor kolejek zębatej, przebiegającej się tunelem. Widzimy w dole sznur wagoników, poruszanych elektrycznie, jak co chwila przepadają w otworach, wydrążonych w skałę. W tę stronę droga lepsza i mniej kręta stromo prowa-

dzi ku morzu. Przebywamy apenińskie pustkowie i już jesteśmy wśród ruchliwych lic Rimini.

Zmierzamy w stronę Rawenny. Wkrótce zwraca naszą uwagę olbrzymia tablica nad małym, ledwo płynącym potoczkiem. Oto sławny Rubikon, po którego przekroczeniu Juliusz Cezar, idący do Rzymu po władzę, wyrzekł pamiętne słowa: Alea iacta est! (Kości rzucone!). Faszyzm to zdarzenie historyczne upamiętnił olbrzymią tablicą, głoszącą, że tutaj właśnie Cezar przekroczył historyczny potoczek.

Nie zatrzymujemy się, lecz pędzimy dalej na północ. Upał niemożliwy, jedynie przewiew w samochodzie pozwala odetchnąć swobodnie. Doskonala szosa wiedzie w pobliżu morza. Wzdłuż drogi winnice i sady. Ale niebawem można spostrzec, że zaczyna się od morza oddalać. Już nawet z wynioślejszych punktów nie widać niebieskiej tafli. Teren wokół bagnisty, osuszony sztucznie; jeziora bagienne kilometrami towarzyszą nam w podróży. Zbliżamy się do Rawenny, starożytnej stolicy Ostrogotów.

Małe dzisiaj miasteczko, ledwo trochę ponad trzydzieści tysięcy mieszkańców liczące, około piętnaście wieków temu było stolicą imperium, ogarniającego całe Włochy. Tutaj w r. 402 po Chr. osiadł cesarz Honoriusz. Stąd po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego rzucił Italię Odoaker. Tu w VI w. miał swą stolicę sławny król Ostrogotów, Teodoryk Wielki, protektor sekty arian. Tutaj wreszcie w Rawennie wylądował wódz cesarza bizantyjskiego, Justyniana, Belizar, próbując pod berłem wschodu odnowić wielkie cesarstwo rzymskie.

Nigdzie chyba, poza Rzymem, nie ma świątyni katolickich tak starożytnych i wspaniałych, jak w Rawennie. Kościół św. Witalisa, rozpoczęty za czasów Wielkiego Teodoryka w VI w. po Chr. w stylu bizantyjskim z cudownymi mozaikami, zapelniającymi wnętrza. W podwórzu mauzoleum Galii, Placidii, siostry cesarza Honoriusza, pochodzące z V w. po Chr., znowu ożywione wspaniałymi mozaikami. Zdumienie ogarnia na widok tych arcydzieł sztuki, odnowionych wprawdzie, ale bez uszczerbku dla ich pierwotnej wartości.

Przy ulicy Garibaldiego wступujemy do wspaniałej Sant'Apollinare Nuovo, wzniesionej przez Teodoryka Wielkiego dla kultu arian. Był to jego kościół dworski. Wnętrze — to jakby baśń architektoniczna z odległej przeszłości. Na 24 kolumnach

marmurowych, przywiezionych z Konstantynopola, spoczywa sklepienie. Znowu mozaiki strojne, cudownie zachowane.

Katedra barokowa, choć piękna, wydaje się czymś zupełnie nowym wobec tamtych zabytków przedwiecznych. Ale obok niej baptisterium arian. Była to prawdopodobnie ongiś łaźnia rzymska, którą w V w. po Chr. przerobiono na kaplicę, w której arianom udzielano chrztu. I znowu wspaniale zachowane mozaiki oświecają czarem bizantyjskiej sztuki.

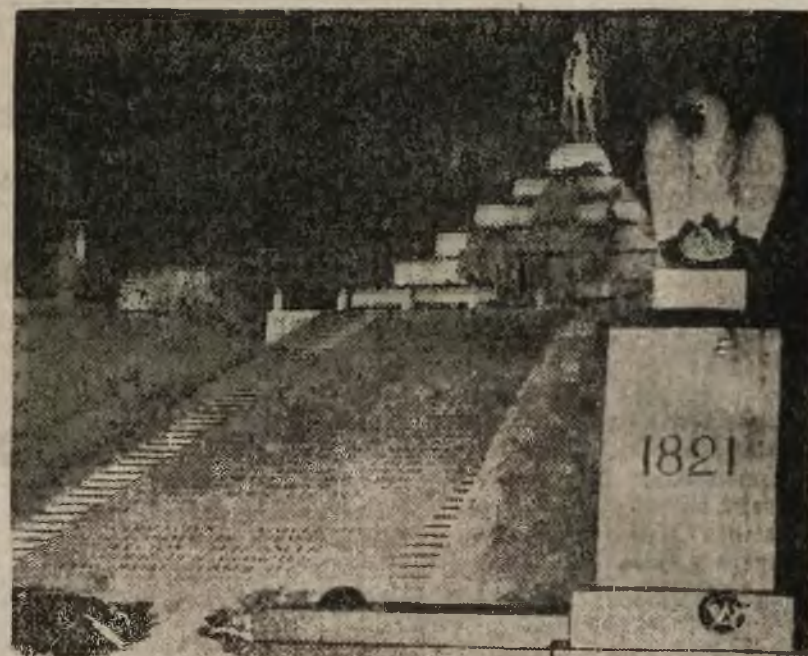
Z miastem zbudował sobie wielki Teodoryk grobowiec, w którym postanowił położyć się na wieczny sen. Budynek stoi do dzisiaj tego dnia, lecz zwłoki dostojnego króla — arianina — kazął wyrzucić wódz katolickiego Justyniana, Belizar, by nie kalali miasta. Imponuje ludziom dzisiejszym olbrzymi gład kopuły, jednolity, choć już trochę popękany, przywieziony aż z Dalmacji na królewski grobowiec. Przy obecnym rozwoju techniki nie byłoby łatwo poradzić takiemu ogromowi!

Słońce chyli się ku zachodowi, gdy opuszczamy miasto dawnej chwały. Okolica dalej bagnista, jak przedtem. Roje moskitów snują się wokół i wpadają nawet do wnętrza wozu, kłusując dotkliwie. Upał nie zelżał nawet pod wieczór.

Ciągle wzdłuż drogi rozlewiska i mokradła. Szyby naszego „Fiat“ zamglone, bo tysiące owadów, unoszących się w powietrzu, zabił morderczy pęd. W ten marny sposób zginęły tysiące rozsądników malarzy, albowiem moskity z okolic Rawenny, Ferrary i Mantuy są znane, jako roznosiciele tej śmiertelnej choroby.

Płytko rozlane jeziora zapowiadają nam wjazd do Ferrary. Już o zmroku wpada nasz samochód w ulicę renesansowego miasta, słynnego z dzieł sztuki.

Upał w nocy nieznosny. I na dobitkę trzeba spać pod moskitierą i dusić się przy zamkniętych oknach, bo moskity czyhają tylko na sposobność, by pic ludzką krew i szepeć zdradziecko malarie. Przemęczyliśmy noc, a rano na moskitierze znalazłem — mimo ostrożności — dwa moskity, próbujące dostać się do mnie. Pochwałę się, że stałem się przyczyną krótkiego żywota tych drażniących łajdaków.



W miejscu urodzenia wielkiego cesarza Francji Napoleona w Ajaccio, odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika, wzniesionego ku czci Napoleona. Zdjęcie przedstawia pomnik Napoleona.

## Skarby tureckie na dnie Dunaju

Przed niedawnym czasem zawiązało się w Budapeszcie przedsiębiorstwo w celu wydobycia skarbu, leżącego rzekomo na dnie Dunaju od 1526 r. Według podania — gdy w tym roku Turcy napadli na Węgry i w jednej z bitew zginął król Ludwik II, królowa wszystkie skarby królestwa węgierskiego poleciła załadować na dwa statki, które miały je przewieźć Dunajem w bezpieczne miejsce. Plan ten jednak nie udał się, ponieważ statki zostały napadnięte przez piratów i podczas walki zatoniły. Poszukiwania wykazały, czy powszechnie znana ludowa legenda o skarbach jest prawdziwa. Założenie przedsiębiorstwa w tym celu wzbudziło zainteresowanie nie tylko na Węgrzech, ale w całej Europie.

## Rekordy „wielkich demokracji” Co 37 amerykańskich włamywaczem

Związek amerykańskich adwokatów wydał niedawno interesujące dzieło, podające bardzo ciekawe szczegóły, dotyczące przestępczości. Najciekawsze są jednak dane statystyczne, dotyczące włamań. Ze statystyki tej wynika, że na 37 mieszkańców Stanów Zjednoczonych wypada jeden włamywacz. Jeszcze ciekawsze jest obliczenie, wykazujące, że co 22 sekundy wypada jedno poważne włamanie. W Stanach Zjednoczonych jest najwięcej więźniów na świecie, zarówno ilościowo, jak też procentowo i — jak dowcipnie wyraził się jeden z autorów dzieła — wielce uciążliwą statystyką ludności U. S. A., gdyby nie wliczono do mieszkańców Stanów rzeszy więźniów.

## Prace wykopaliskowe na Górze Zamkowej w Wilnie

WILNA, 19.8. Prowadzone od dłuższego czasu prace wykopaliskowe na Górze Zamkowej w Wilnie, obok charakteru konserwacyjnego, nosiły również charakter archeologiczny i szły w dwóch kierunkach: konserwacji murów i odsłaniania warstw współczesnych zamkowi i wcześniejszych od niego.

Badania tych warstw nie wykazały dotychczas śladów fortyfikowania zamku. W odkopanych warstwach znaleziono fragmenty ceramiki średniowiecznej, noże żelazne i inne przedmioty codziennego użytku. Z monet znaleziono dwa denary z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Z ozdób należy wymienić fragmenty szklanych bransolet kijowskich, bransolety z brązu, paciorki szklane i ułamki naszyjników.

## Nowa sztuka kaszubska

W czasie ubiegłych dwóch dni świątecznych Koło Akademików - Kaszubów w Kartuzach wystawiło w Kartuzach sztukę pt.: „Wręje” (swaty) pierwszą komedię napisaną w gwarze kaszubskiej. Premiera została przyjęta bardzo życzliwie przez publiczność.

B. HOFMANN

21)

## NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przeznaczono na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zgineło.

De Katt usłyszał za sobą s tłumiony okrzyk. Odwrócił się i ujrzał bladą przestraszoną twarz Nelly Speyer. Skinął na przejeżdżającą taksówkę, a gdy się zatrzymała przy skraju chodnika, uchylił drzwiczki.

— Siadaj, Nelly! — rozkazał, nie podnosząc głosu. — Ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Wsiadła, poruszając się jak automat, spojrzała bojaźliwie na de Katta, który z niezmiennym spokojem stał przy drzwiczkach, i wykrzusiła z trudnością:

— Kiedy się zobaczymy?

— Prawdopodobnie jutro.

— Chciałaby wiedzieć za pewno.

— Węć dobrze, jutro.

Kazał szoferowi jechać do baru „Kolibri“, uchylił kaptusza i odszedł.

Nelly odchyliła się na poduszki oparcia, przycisnęła chustkę do ust i załkała bezgłośnie...

VIII.

Henryk Orda pojechał na Boorburgswal, znalazł okazały budynek, w którym mieściła się Komenda Główna Policji, wszedł do hallu i zapytał woźnego, czy może widzieć komisarza Weniga.

— Tak jest. Drugie piętro, drzwi 51.

Orda udał się pod wskazany numer. W obszernym pokoju zastał kilku pracujących urzędników. Jeden z nich poprosił go, by zaczekał, oświadczając, że w tej chwili komisarz jest zajęty.

Wkrótce drzwi się uchyliły i z sąsiedniego pokoju wyszedł jakiś mężczyzna ze słowami:

— Rozumiem, panie komisarzu.

Po nim na progu ukazał się drugi, o którym Orda pomyślał, że to musi być Weniga, i powiedział, trzymając dłoń na kłame:

— Węć niech się pan zajmie poważnie tą sprawą, Rottwyl! Będę czekał na pańskie meldunki. — Spostrzegł Ordę i zapytał: — Czy pan do mnie?

Młody oficer wstał, zbliżył się i oświadczył z ukłonem:

— Tak. Nazywam się Henryk Orda, przeczytałem dziś rano obwieszczenie policji i w tej sprawie przyszedłem.

— Pan zna tego człowieka?... Mówię o tym, którego przedwczoraj wyłowiono z kanału.

— Tak.

Weniga cofnął się od progu, szerzej uchyłając drzwi.

— Proszę bardzo.

Orda wszedł do gabinetu. Tymczasem Weniga zawołał do któregoś ze swoich urzędników:

— Niech pan zaraz zawróci Rottwyna!

Zamknął drzwi, wskazał Ordzie krzesło i sam usiadł przy zwykłym stole, zastępującym biurko, przysunął teczkę z aktami, wyjął z niej fotografię.

Proszę się przyjrzeć dokładnie.

Orda wziął arkusz papieru, do którego było przyklejone niewielkie zdjęcie, popatrzył uważnie i oddając je z powrotem, oświadczył:

— Sądzę, że tu nie może być żadnej pomyłki. Widziałem tego człowieka na pokładzie „Frieslandu“. Jestem pierwszym oficerem na tym parowcu.

— Aha! A kiedy to było, panie poruczniku?

— Wyruszyliśmy z Londynu trzynastego sierpnia i następnego dnia rano wpłynęliśmy do portu Hoek van Holland.

Weniga popatrzył w zamyśleniu na Ordę, potem zapytał:

— A nazwisko tego podróżnego? Czy je pan może ustalić po pewnym czasie, czy też pan je zna?

— Znam, ponieważ byłem świadkiem pewnego wydarzenia i widziałem paszport tego pana. Nazywa się Edward Mac Stanton.

Urzędnik otworzył drzwi, wpuszcł do gabinetu Rottwyna, a sam usiadł na oboku przy małym stoliku i przygotował się do pisanego protokołu.

Tymczasem Weniga zwrócił się do wywiadowcy:

— To jest Henryk Orda z parowca „Friesland“. Rozpoznał człowieka, wyłowionego z kanału.

Rottwyl, mały szczupły jegomość w okularach, obrzucił Ordę przelotnym spojrzeniem.

— I co, panie komisarzu? — zapytał.

— Zgadza się — odparł Weniga.

Orda popatrzył na nich kolejno, nie rozumiejąc z tej krótkiej wymiany zdań.

— Węć proszę jeszcze raz powtórzyć, co pan porucznik wie w tej sprawie — podjął Weniga. — Czy pan ma dowód osobisty?

Orda wyjął legitymację. Komisarz przerzucił pobieżnie kilka kartek, potem położył ją na skraju stołu i powiedział do urzędnika:

— Kramer, niech pan stąd weźmie personalia pana Ordę.

Urzędnik wykonał rozkaz, po kilku minutach, które upłynęły w zupełnym milczeniu, przyniósł z powrotem dowód osobisty. Komisarz wręczył go Ordzie.

(D. c. n.)